

## LEOKADIA DĄBCZAK

ur. 1931; Wysokie



Miejsce i czas wydarzeń	Wysokie, II wojna światowa
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, choroba, znachor Pauk, niemiecki lekarz, medycyna ludowa

### Rozchorowałam się bardzo w czasie okupacji, uratował mnie znachor

#### Pauk

Do okupacji, to moja choroba dochodzi. Nie wiem, w którym to roku, ale z tego zdjęcia, co ja mam, to jest 1944 rok, to będzie, że w 1943 zachorowałam. Bo chorowałam przez całą zimę, bardzo chorowałam. Bawiłam się jak zwykle z dziećmi na podwórzu, na drodze, bo to zbiórka była taka, że zawsze śmy się schodzili tam na drodze, na skrzyżowaniu drogi. To była niedziela. A u nas wtedy nawet w niedzielę grali w karty mężczyźni, bo taka była moda, no bo co mogli więcej robić? No więc raz tu grali, raz tam. Grali w jakiegoś durnia, nie na pieniądze, czy coś, tylko tak grali. Wiem, że w durnia i w tysiąca chyba. I wtedy właśnie u nas siedzieli, i grali, a ja przyszedłam do domu i położyłam się. I słyszałam przez okienko - bo w tej naszej chałupce, to były trzy okna, ale każde okno było inne - od południa, od podwórza, było takie na sześć szyb. Od wschodu było na sześć, ale węższe było jak to. Bo tutaj, to było takie normalne stolarskie okno, a tutaj było tak jakby samoróbka jakaś, a tędy, od drogi, była taka szybka jakaś na cztery, takie okienko na cztery szybki tylko. Takie malutkie, do wyglądu tylko, czy kto jedzie. To ojciec miał w zwyczaju, jak posłyszał, że jedzie furmanka, konie kłapią, to zaraz od okna do okna, kto jedzie. No i ja tak słuchałam, że te dzieci się bawią, a ja nie mogłam już wyjść. I nie wyszłam. No i chorowałam już tak bardzo, że już nie wstawałam. I strasznie mi się zachciało jedzenia, którego raczej nigdy nie jadłam - bułki takiej drożdżowej upieczonej w piecu, tylko nie z ciasta żytniego chlebowego, tylko z pszennego. Taka biała bułka w brytfance. I taki kawałek tej bułki z jabłkiem surowym. A jabłek surowych nie było u nas. Więc mama, czy ojciec, poszedł tam do takiej pani, co duży sad ma, to nawet jakaś daleka kuzynka była, żeby z jakiegoś jedno jabłko dała. Wtedy, to już tak nie bardzo kto chciał co dać, bo to już głód był. Soli nigdzie nie było. Więc ona powiedziała, że da jabłko, ale jak da szklankę soli ojciec. U nas na szczęście soli nie brakowało, to znaczy oszczędzaliśmy bardzo, bo to gdzieś 1939 roku zapasy ludzie już robili

trochę, i kupił jakąś sól, ona się tak zbryliła. To była taka jedna bryła, i jak się szło, to trzeba było brać młoteczek i stukało się, żeby uzbierać troszkę drobnicy takiej. No i ojciec obiecał, że da tej soli. I ona przyniosła to jabłko sama następnego dnia. W takiej pelerynie przysłała, pod tą peleryną [miała], żeby nikt nie widział, że ona przyniosła jabłko, i że później będzie coś niosła. I przysłała, i to jabłko wyjęła, a ojciec dał jej sól pod pelerynę, i poszła. Ja byłam szczęśliwa, mama mi po plastereczku tego jabłka kroїła, i z tą bułką mi się tak chciało, i jadłam. Później, to już tak było, że i tych jabłek mi się nie chciało, ani tej bułki. Przysłała kobieta z drugiego końca wsi i mówi, że tam już u nas mówili, że ty już nie żyjesz, a ty jeszcze żyjesz? No i ojciec zdecydował, że pojedziemy do niemieckiego lekarza, bo dla Polaków, dla nas, nie było lekarza. No i położyli mnie na furmankę, tam jakąś pierzynę położyli na furmance, zawiózł mnie ojciec, wziął na ręce i zaniósł mnie na poczekalnię. A na poczekalni było, ja wiem, z pięć może niemieckich kobiet, no bo lekarz przyjmował. Ojciec mnie zaniósł, ale ani mnie posadził, ani mnie tego, tylko mnie położył na krześle i tak mnie trzymał, bo ja byłam bezwładna. No i coś te Niemki porozmawiały, jedna wstała, weszła do gabinetu, wyszła później z gabinetu, i ten lekarz zawołał, żebyśmy weszli. Przyjął mnie. No ojciec mnie postawił na stołku, trzymał mnie, żebym się nie przewróciła, on tam mnie zbadał, zapisał jakieś leki, i w wyniku tego dostaliśmy w aptece dwie butelki takie po wódce, ale płyn był. W jednej butelce był kwaśny, a w drugiej był słodki. No i po powrocie zaczęłam przyjmować to lekarstwo z tym, że nie smakowało mi to kwaśne, wzdrygałam się przed wypiciem, a to słodkie mi smakowało, no bo cukru nie było, to się dziecku słodkiego chciało. No i później, już tak pod wiosnę, zaczęłam się lepiej czuć. Zaczęłam już siadać. Już jak mleko dostawałam, mama zagołowała mleko, no to mnie posadzili i się napiłam. No i wtedy, nie wiem dlaczego, ale zdecydowali, bo tam u nas Trościanka się nazywała taka miejscowość, i był taki, to podobno Ukrainiec był, ale to nieważne, był taki znachor, nazywał się Pauk. No i ojciec mówi, że zawiezie mnie tam. I znowu mnie położyli na ten wóz, bo nie byłam w stanie siedzieć, tam jakąś pierzynę, coś, i zajechaliśmy do tego Pauka. Ale to już było tak, że tylko na polu śnieg był, tylko miejscami leżał śnieg, a to już się roztopił. Czyli to już wiosna zbliżała się. I zajechaliśmy tam, taką polną drogą wjechaliśmy na podwórze, tam nam ludzie pokazali gdzie. A tam było, ja wiem, z piętnaście furmanek... z chorymi. I słońeczko tak nawet przygrzewało, tak przyjemnie tam było. No i później przysłała nasza kolej. Wchodzimy tam, taki starszy pan jest, a w kuchni –przez kuchnię śmy przechodzili –była kobieta. Pokazała nam gdzie, zamknęła za nami drzwi, weszliśmy tam, a on tak pokazał na leżankę, taka leżanka była skórą, czy ceratą obita, żeby mnie położył ojciec. No to położył mnie na tym, i ja zauważyłam, że on w ręku coś miał takiego, tak jak metalowe to było. Mnie się skojarzyło to z uchem, taki wywijasek jakiś, z uchem mi się skojarzyło. No i on przyszedł, tak stanął nade mną i mówi do ojca tak: „Czegoś do mnie od razu nie przyjechał?” Bo on tak przez nos mówił –„Tylkoś najpierw do Niemca pojechał” A ojciec zaczął się składać, że tam bliżej było, no bo faktycznie, że bliżej było. - „Trzeba

było od razu przyjechać, zobacz w jakim ona stanie. Pomógł ci ten Niemiec?” Ojciec mówi: „No troszkę lepiej się czuje teraz, już rozmawia i tego”... - „Acha” No i coś tu mnie pomacał, tam nacisnął gdzieś, coś tego, na czoło. I miał to w ręku to coś takie właśnie, takie jak ja mówię, to niby ucho. - „Masz pieniądze? No nie masz” Ojciec mówi: „No nie mam, ale coś tam mam” - „To nie trzeba, nic nie dawaj. Już możesz ją zabrać” Ojciec podchodzi do mnie i chce mnie brać. - „A po co ty ją bierzesz? Ona sama pójdzie” A ojciec: „Nie pójdzie” - „Pójdzie, odejść. Wstań” I ja wstałam. A on mówi: „A teraz masz ciasteczko, jeszcze sobie zjedz” Takie było kruche ciasteczko z rafinadą, grubym takim cukrem posypane. Okrągle. I to ciasteczko mi dał, ja to ciasteczko zjadłam i wyszliśmy. No, ale jak wyszliśmy z tego mieszkania, to już ojciec mnie wziął na rękę, bo już było za dużo na mnie. Ale tu wstałam sama i sama wyszłam z mieszkania. I zaniósł mnie ojciec, bo tam i błoto było na podwórzu, i dużo furmanek było. Zaniósł mnie do woza, położył mnie. Przyjechaliśmy do domu, i ja sobie już wstawałam i chodziłam. On tak jakoś niby mnie dotykał, ale nie wiem. A skąd wiedział, że u Niemca śmy byli? A później, po wyzwoleniu, jak chodziłam do szkoły, to pięć kilometrów chodziliśmy do szkoły do Skierbieszowa, to wózkiem gdzieś spod Lublina kobieta jechała z dzieckiem. Wózkiem! No i pytała nas o drogę, trochę ją ludzie podwozili, i że też właśnie o nim słyszała. Wtedy nie był jeszcze taki strasznie stary, ale taki szpakowaty. Nie za wysoki, średniego wzrostu. Nie szczupły jakiś albo bardzo gruby, tylko też taki normalny, tak jak właśnie starszy mężczyzna już w takim wieku, że troszeczkę tego sadełka miał. Taki bardzo sympatyczny. No i tak mnie wyleczył.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2017-06-29, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Redakcja</b>	Piotr Lasota
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"